

Władysław Stachurski dla LL! cz.I

Wtorek, 12 października 2010 r. godz. 15:00

Piłkarską przygodę rozpoczął 52 lata temu. Jako piłkarz z Legią zdobył dwa razy mistrzostwo Polski, Puchar Polski, a także dotarł do 1/2 finału Pucharu Europy Mistrzów Krajowych. Wypatrzył go Longin Janeczka, ale debiutował na Ł3 pod wodzą Virgila Popescu. Jako trener doprowadził nasz zespół do 1/2 finału PZP. Przy Łazienkowskiej pracował również jako dyrektor sportowy, a w 1995 roku został wybrany selekcjonerem reprezentacji Polski. Dziś prezentujemy pierwszą część obszernej rozmowy z Władysławem Stachurskim.

Pana przygoda z futbolem rozpoczęła się 52 lata temu. Jak do tego doszło?

Władysław Stachurski: Zgadza się. W klubie zacząłem grać w 1958 roku. I choć nie urodziłem się w Warszawie, to właśnie tu stawiałem pierwsze kroki. Mój ojciec zginął w Powstaniu Warszawskim. W związku z tym, mając trzy miesiące przeprowadziliśmy się z rodziną spod Kielc do stolicy. Pierwszym moim klubem była Skra, którą trenował Milczanowski. Natomiast mój debiut miał miejsce w Milanówku, gdzie graliśmy z Jedwabnymi. Wyniku siłą rzeczy już nie pamiętam, niemniej jednak był to mój pierwszy mecz jako zawodnika zarejestrowanego w PZPN.

Więcej szczegółów powinien Pan pamiętać z pierwszego występu w barwach Legii.

- Po Skrze, w latach 1959-1961 grałem w zespole SHL Kielce, w którym miałem kolegów, w tym Ryszarda Sarnatę występującego później w Krakowie. Następnie wróciłem do Warszawy, gdzie podążyłem za grupą kolegów i trafiłem do Sarmaty, której byłem zawodnikiem do 19. roku życia. Wówczas wypożyczono mnie do Warszawianki, która zdobyła mistrzostwo okręgu warszawskiego i walczyła o II ligę. Przygoda ta trwała zaledwie miesiąc i w tym czasie wystąpiłem w czterech spotkaniach. Wynikało to z faktu, iż szybko się okazało, że biało-czarni nie mają szans na awans. Niemniej jednak znowu zyskałem nowe znajomości - Stanisław Hachorek, Marcei Strzykowski, Jurek Słaboszewski, Zbyszek Porcz, Andrzej Brzozowski. Mimo sporej różnicy wieku, byliśmy kolegami z boiska. W międzyczasie powoływano mnie do reprezentacji juniorów Warszawy, a także Kielc. Ponadto otrzymałem szansę wyjazdu na obóz centralny reprezentacji Polski. Wówczas poznałem m.in. Włodzimierza Lubańskiego, czy Andrzeja Jarosika.

Po Warszawiance wrócił Pan do Sarmaty, ale na krótko, by wkrótce trafić do Legii.

- Rozpocząłem w 1964 roku rundę jesienną na poziomie trzeciej ligi i wówczas rozegrałem mecz, który w moim odczuciu zadecydował o przenosinach na Łazienkowską. Wówczas Legia grała z Tottenhamem na stadionie X-lecia. Natomiast przed rywalizacją obu ekip odbyło się spotkanie pokazowe pomiędzy reprezentacją Polski juniorów oraz Legią. Wystąpiłem w barwach wojskowych, choć nie byłem jej zawodnikiem. Wygrywaliśmy wówczas 3-2, a ja zdobyłem jedną z bramek, trafiając tym samym do notosu Longina Janeczka, będącego szkoleniowcem legionistów. Później rezerwy Legii przyjechały na Sarmatę i dostali 5-0, a ja wpisałem się kilka razy na listę strzelców. Jesienią, mając 21 lat trafiłem jako poborowy na Łazienkowską, ale tam już nie było Janeczka, który przeniósł się do II-ligowej Zawiszy Bydgoszcz [trenował Legię tylko do końca 1963 roku - przyp. LL!].

Debiut w Legii nie przyszedł szybko.

- Tak. Był rok 1964. Najpierw zacząłem występować w rezerwach. Rok później, późną jesienią graliśmy sparing z pierwszym zespołem. Wówczas szkoleniowcem był Rumun Virgil Popescu. Dobrze się już wtedy znaliśmy z Antonim Trzaskowskim, Bernardem Blautem czy Wiesiem Korzeniowskim. Natomiast 27 marca 1966, czyli w moje 21. urodziny zadebiutowałem w zremisowanym bezbramkowo meczu z Wisłą w Krakowie. Myślałem, że jestem niewiedomo jak dobrym piłkarzem... I tak zaczęła się moja Legia.

Legia, w której z napastnika stał się Pan obrońcą. Jak do tego doszło?

- Co ciekawe, w pierwszym swym spotkaniu z "eLką" na piersi wystąpiłem właśnie w ataku. Generalnie strzelałem sporo bramek. Jednak w połowie 1966 roku na Łazienkowską trafił Jaroslav Vejvoda [został trenerem Legii 1 lipca 1966 - przyp. LL!]. Wkrótce w Warszawie wylądowali Robert Gadocha oraz Kazimierz Deyna po epizodzie w ŁKS-ie, z którego zrezygnowali w Łodzi, bo stwierdzili, iż

jest za młody. Obaj wskoczyli do składu. Pamiętam, że byliśmy na obozie na Litwie. Przyznam, że bywało raz lepiej, raz gorzej. Natomiast Vejvoda ciągle mi się przyglądał, dobre pół roku i w końcu powiedział krótko: "W ataku będziesz miał kłopoty, nie załapiesz się". A wtedy za rywali miałem Lucjana Brychczego, Henryka Apostela, był Rysio Skurzyński, z Lechii Gdańsk przyszedł Kazio Frąckiewicz. Byłbym pewnie czwartym, piątym, a może trzecim do składu. I trener powiedział, że widzi coś dla mnie dobrego, i że sprawdzi mnie w obronie. Tak się zaczęło. To zaczynałem w wyjściowym składzie, to wchodziłem z ławki...

Jak można się domyślać, bardzo dobrze sprawdził się Pan w tej roli?

- Zaczynało to dobrze wyglądać. Vejvoda powiedział do mnie tak: "W dystansie czas masz niezły, ale start do piłki nie jest twoją mocną stroną i jako napastnik miałbyś trochę kłopotów". I tak już zostało. Przyznam, że trafił pierwszorzędnie! Dzięki temu zaistniałem w pierwszej lidze, w młodzieżówce, w kadrze olimpijskiej, a także reprezentacji Polski jako obrońca. W związku z tym, ten wybór okazał się słuszny.

Jednak umiejętności strzelecki pozostały, o czym przekonali się rywale, kiedy strzelał Pan im bramki jako defensor.

- Dokładnych liczb nie pamiętam, ale nadal jestem w czołówce strzelców biorąc pod uwagę tylko obrońców. Co sezon zdobywałem po trzy, cztery gole w lidze, a do tego należy doliczyć spotkania międzynarodowe. W efekcie w ponad 250 wszelkiego rodzaju meczach w barwach Legii trafiałem do siatki dobre 40 razy. Jednak oprócz indywidualnych osiągnięć, trzeba mieć na uwadze to, co osiągnęliśmy razem jako drużyna, czyli dwa tytuły mistrza Polski [1969 i 1970 - przyp. LL!], a także zdobycie krajowego pucharu [1973 - przyp. LL!] i przegrany półfinał Pucharu Mistrzów z Feyenoordem Rotterdam w 1970 roku.

Można pokusić się o stwierdzenie, że mógł Pan osiągnąć znacznie więcej, gdyby nie poważna kontuzja.

- Wszystko dobrze się rozwijało. Pojawił się nawet temat zagranicznego wyjazdu, ale wówczas były dość ostre przepisy ograniczające zmiany barw. Aż do pierwszego meczu rundy rewanżowej w 1973 roku. W Warszawie graliśmy z Lechem Poznań i coś... Przypadek, nieszczęście i zderzyliśmy się na połowie boiska. Chłopak, z którym spotkałem się w reprezentacji juniorów. Zomino się nazywał, występował na pozycji pomocnika. W efekcie "poszedł" cały staw kolanowy, zerwane więzadła przyśrodkowe, krzyżowe przednie, tylne, łękotka zmiażdżona. Trzeba było wszystko czyścić, przeprowadzić szereg zabiegów. W wieku 28 lat skończyło się profesjonalne granie. Z jednej strony mogę powiedzieć, że jeszcze bym pograł z kilka lat.

A o kolejne sukcesy nie byłoby trudno. Do dzisiaj Legia z końca lat 60 i początku 70-tych uznawana jest przez wielu za najlepszą w historii klub.

- Tylko jakie założymy kryteria? Jeżeli pod uwagę weźmiemy osiągnięcia, to tak. To co zdobyliśmy na murawie, to są fakty, a z faktami się nie dyskutuje. Natomiast my wielokrotnie wracaliśmy podczas rozmów do składu Legii z lat 50., a dokładnie 1955-56. Była tam wówczas grupa starszych kolegów jak Lucjan Brychczy, Antek Mahseli, Henryk Grzybowski, Jerzy Woźniak, Stasiek Fołtyn. I pytanie czy ten skład, który również sięgał dwukrotnie po mistrza, nie był personalnie mocniejszy? W luźnych rozmowach uznawaliśmy ich za lepszą jedenastkę, do której niewielu z nas zdołałoby się przebić.

Kiedyś często drużyna wyjeżdżała na zagraniczne zgrupowania, turnieje. Również za ocean. Jak Was tam przyjmowano?

- Nas odbierali jako drużyna z tzw. demoludów. Pokazywali nas jak małpy. Gdy pojechaliliśmy do Stanów Zjednoczonych w 1969 roku mówiono "O! Przyjechały białe niedźwiedzie". A my po prostu robiliśmy swoje i na boisku ich równo trzepaliśmy. Był pewien menedżer, Juliusz Ukraińczyk z Łodzi, który mieszkał we Francji. Miał wówczas kontakty w adidasie. Dzięki niemu jeździliśmy do Ameryki Południowej w przerwie między rundami, z kolei latem po Europie Zachodniej.

W meczach strzelaliście dużo bramek. Skąd mobilizacja, by w sparingach wygrywać jak najwyżej?

- On nam zawsze powtarzał, żebyśmy ładowali rywalom bramki ile wejdzie. To zresztą wpajał nam również Vejvoda. Jeżeli komuś można było 'wsadzić' 10 goli, to tyle należało 'wsadzić', a jak tylko jednego, to aby wygrać 1-0. Miało to odzwierciedlenie na wiarę w to co robimy i własne umiejętności. Pamiętam jedno spotkanie z Red Star Paryż. Byli za mocni na II ligę, ale za słabi, aby grać na najwyższym szczeblu. Ich prezesem był wówczas Jacques Chirac, pełniący również funkcję mera stolicy Francji. Wpakowaliśmy im cztery bramki, a później wszedł do szatni Ukraińczyk i powiedział "Boże! Coście zrobili? Teraz nikt nie będzie chciał z wami grać". Tylko co my mieliśmy zrobić, skoro nas codziennie uczono, aby grać na poważnie.

To był już koniec wyjazdów?

- A skąd! Sprawę obrócono w żart, a my dalej jeździliśmy po świecie, co wychodziło nam na dobre, bo w pucharach graliśmy bez kompleksów. Mistrza Rumunii, UT Arad ograliśmy 8-0 [październik 1969 - przyp. LL!], gdzie byliśmy sprawcami ich zatrzymania na europejskim poziomie. Oni grali naprawdę nieźle, mając w swoim składzie sześciu reprezentantów kraju. Część z nich przed

rewanżem w Warszawie, wystąpiło kilka dni wcześniej w zremisowanym meczu z Anglią na Wembley. Bohaterem tej potyczki był bramkarz Bornea, a przy Łazienkowskiej ośmiokrotnie wyjmował piłkę z siatki. Warto dodać, że może przy jednej z akcji faktycznie zawiódł, parując futbolówkę przed siebie. W pozostałych sytuacjach nie miał żadnych szans.

W 1970 roku Feyenoord był do wyeliminowania? Mówi się, że drużynie zaszkodziła afera na lotnisku przed wylotem na rewanż do Holandii.

- Można jedynie gdybać... Na pewno zamieszanie na lotnisku nam nie pomogło. Przez lata patrzy się na różne sprawy z innej perspektywy, znając pewne fakty. Ja jednak nie doszukiwałem się złego splotu okoliczności. Było tak, jak było. Wpadło trzech piłkarzy i zrobiono z tego aferę.

A biorąc pod uwagę aspekty czysto piłkarskie?

- W Warszawie było 0-0, a w Rotterdamie ulegliśmy 0-2. Na spokojnie analizowaliśmy wielokrotnie ten dwumecz z kolegami. U siebie mieliśmy dwie "setki", których nie zamieniliśmy na gole. Poza tym przy Łazienkowskiej graliśmy w marcu, gdzie zamiast murawy było błoto, co nie ułatwiało gry. W jednej akcji Brychczy wyszedł sam na sam, zwiódł rywala, strzelił, a futbolówka zatrzymała się 20 centymetrów przed linią bramkową. W drugiej, Janek Małkiewicz otrzymał prostopadłe podanie, podobnie jak "Kici" znalazł się w akcji 1 na 1, ale uderzył tuż obok zewnętrznej strony słupka.

Feyenoord był wówczas gorszy od Legii?

- U nas była dość wyrównana gra. Owszem, trochę szarpali, ale nie mieli klarownych okazji do wygrania tego spotkania. Zwykle akcje obu ekip kończyły się przed polem karnym przeciwnika. Co nie zmienia faktu, że był to bardzo groźny rywal. A proszę pamiętać, że reprezentacja Holandii była wówczas oparta głównie na graczach Ajaxu i Feyenoordu. Zresztą podobnie było w Polsce, w latach 70. Siedmiu z Górnika, ośmiu z Legii czy odwrotnie i reszta z pojedynczych zespołów.

Rozmawiali Marcin Bodziachowski i Paweł Krawczyński

CDN